Nr. 32. We Lwowie dnia 12. sierpnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z PARYŻA W LIPCU.

Upał lipcowy rozszalał nad wielkiem miastem. — Gorąco.

Dni tutaj wszystkie bywają złote od blasku, ale — jakoby nieprzychylne ludziom i jakby zawzięte.

Wypadki śmierci od porażenia słonecznego zdarzają się teraz codziennie.

Umierają tedy ludziska od słońca. Ano śmierć taka od każdej innej nie gorsza.

Kto wie? może nawet jest w „lepszym stylu“ od innej?

Przychodzi uderzeniem gorącem, jasnem, a strasznem...

I tak odrazu nadmiarem światła i ciepła w ciemność odrzuca i chłód i ciszę.

Kto wie? może taka od innej nie gorsza?

Raz, dwa! od blasku — w ciemności i sen.

Tylko, że dziwnem się to wydaje: pojęcie śmierci zazwyczaj bywa jakieś żałobne; symbole śmierci: kościotrup i kosa, a tło i otoczenie jej tradycyjne — to noc jest i psy, do księżyca wyjące i księżyc, jakoby twarz umarłego wybladła.

A tutaj — chodzi sobie w południe, świetlista, utajona, a kąsa. W przepychu promieni cicho a chytrze po wielkiem mieście chodzi. Od czasu do czasu jasną dłoń i piekącą na ludzkiej głowie położy — i dosyć...

I chłód jest natychmiastowy, i mrok, i cisza.

A dla żyjących pozostał lipcowy żar.

Lipcowy żar. — Nietylko pod szaro-błękitnem niebem upalnem...

Po za obrębem wystawy stoi pawilon niewielki, otaczają go zewsząd kasztany dość rozłożyste i cień jest od drzew tych w około budynku.

A wewnątrz? a w środku?

Oto przy wejściu ogarnia wrażenie: lipcowy żar.

Tamtemu równy — pod szaro-błękitnem niebem upalnem...

Tamtemu równy, bo niemniej przytłaczający i — smutny.

Gorąco niezmierne, a w którem się czai ból.

I jeszcze głębiej poczucie śmierci ukryte na dnie tego bolu.

To jest wystawa rzeźbiarska Rodina.

Pawilon niewielki, okrągły, — wchodzimy: ściany żółtawe, przez dach oszklony potoki bladego światła, — jasno i smutno. Bardzo białe, większe i mniejsze grupy i pojedyńcze postacie, popiersia.— Jasno i smutno. A jednak to rzeczy piękne; to ciała ludzkie wykonane tak świetnie, że bije z nich niezmierne tętno życia.

Wybuch życiowej rozkoszy.

Tylko że w głębi owego wybuchu jest ból, a w jądrze owego bólu śmierć.

Nazywają tutaj Rodina „le maître de la volupté et de la douleur“.

Ano i prawda. Powiązał te ciała linją wężową, a ruchem tak śmiałym, że nieraz do jaskrawości dochodzi, powyginał w uścisku, w którym rozkosz zmysłowa zdaje się krzyczeć z nadmiaru żądzy i cierpień.

I krzyk jest, i ból jest, który śmierć w życiu czuje.

I wszędzie się to powtarza. Spojrzmy dokoła: bieleją porozstawiane grupy i pojedyńcze postacie, a wszędzie to samo.

Monotonja: napięcie jednej struny potężne, głośne, szalone; zawsze ta sama dręcząca konwulsja ruchu i krzyk ten silny, a jednak bezsilny, nasycony, a wciąż taki próżny, upojony, a jednak taki bolesny.

Pośrodku coś odrębnego widnieje: bryła ogromna, białością jasna, wąska u dołu, rozszerzająca się coraz ku górze.

U szczytu wynurza się z bryły, nieco w tył odrzucona, pogardliwa, zamyślona i dziwna, potwornie silna i brzydka głowa Balzac'a,

Bryła jakby zaledwo jest ociosana.

Dzieło sztuki, czy kaprys?

Jeżeli kaprys, to w każdym razie potężny.

Ale nie, to coś więcej: jakiś bunt, i wysiłek, i poryw ku innej drodze, ku nowej. Sztuka plastyczna, której królestwo zdawało się przecież wyłącznie na pięknej formie opierać, chce dzisiaj, z pogwałceniem tych granic i mimo lekceważenia tej formy, wywołać silne wrażenie.

Nasycona jest panowaniem w zakresie formy i... tęskna.

Chce teraz dalej i więcej.

Czy może?

Na schyłku wieku oczyma tęsknoty w przyszłość spogląda.

Kto wie, gdzie zajdzie? —

Słońce wylewa roztopione złoto bez miary.

Umarli niechaj śpią sobie cicho, a żywi pod jasnym deszczem gotują się do wielkiego święta, do pamiątki odrodzenia, narodzenia, skruszenia więzów, swobody.

Na tydzień przed 14-tym Lipca już znać na mieście, że będzie święto ludu. Na wszystkich placach pourządzano huśtawki i karuzele; wieczorami ruch tam ogromny, zbiegowisko, gwar i muzyka.

Upojenie świąteczne lud ten ogarniać poczęło i rośnie, i rośnie, i rośnie.

W przeddzień obchodu, w piątek, wieczór zapada pogodny, gorący, cichy. Spokój w powietrzu nad miastem olbrzymiem, ale w tem mieście coś wre nieustannie, kipi.

Tłumy ludzi wylewają się zewsząd, szeregami wzdłuż ulic płyną, płyną i płyną. Niebawem zapala się miasto: iluminacja.

Ruch coraz większy, upojenie wyraźne. Ruch coraz większy przechodzi w taniec: po rogach ulic, na placach wirują pary, śmiech się co chwila podnosi, nad śmiechem panuje muzyka, w kółko i w kółko, bo niemal bez zmiany ta sama.

Nadeszła noc bardzo głośna, pełna wystrzałów na wiwat, okrzyków i śpiewu.

Pod cichem niebem ta noc rozbawiona mija.

W sobotę właściwe święto. Zazwyczaj podobne obchody doroczne bywają nużąco banalne, ale tutaj jest co innego: jakiś ton żywszy, energiczny, wyraźny. — A wzmaga się to i rozrasta, wybucha tryumfującym okrzykiem radości. Bo król to tysiącogłowy uczynił dziś święto sobie.

Kiedyś w podobny dzień runęły okropne mury Bastylji. Prawda, że przytem podniosła się wielka, czerwona kurzawa krwi, ale pośród tych strasznych oparów głowę podźwignął król nowy— lud.

A teraz przypomina sobie w tryumfie.

Straszna to była chwila, ale i piękna. Powstał jedyny król prawowity, wypisał hasła nieoglądane dotychczas: wolność, równość, braterstwo ludu.

Potrząsnął biegiem historji, i hasła swoje rzucił przed oczy światu, jak obietnice ogromne, łudzące... wspaniałe.

Obchody podobne bywają zazwyczaj banalne, ale nie ten, nie taki, bowiem tu naród od szczytu swego do głębi weseli się cały, że wstał.

Morze świateł, na ulicach ruch tramwajowy wstrzymany, głowa ludzka przy głowie, tłum taki zwarty i tak ogromny. Pod niebo z hukiem raz po raz wybiegają rakiety.

Nawet tych.... co nie wstali... jakieś upojenie dziwne ogarnia.

Tylko że pryska niebawem; zgrzyt tutaj słychać w okrzyku wolności.

Co to jest i dlaczego? Dlaczego w szeregu trójkolorowych chorągwi rewolucyjnych jakieś inne widać tak bardzo odrębne, niestosowne i obce?

Dlaczego tutaj sztandary cesarskie i orły czarne, dwugłowe, nienasycone i harde? Nawet Joanny d'Arc pomnik przybrały obok francuskich chorągwie rosyjskie. Trudno w tym razie wyszukać jaki związek logiczny.

Rozlega się Marsylianka, a potem, a potem... „Boże, caria chrani“.

Rewolucyjny lud.

Prawda, własnych tyranów wymordował i wygnał, ale dzisiaj widocznie tęsknić zaczyna, bo oto zebrało mu się na dziwną modlitwę: „Boże caria chrani!“.

Co w tym wypadku jest większem: nikczemność, czy też głupota?

A swoją drogą, jakież to wszystko bezdennie liche, małe!

I wiek XVIII napróżno obiecał tak bardzo wiele.

Pereświt.

❄ ❄ OD PÓL ❄ ❄

Ludzie na mnie nie zważają,
O me śpiewki nic nie dbają,
Więc nad strugą sobie siędę,
Tobie, ziemio, śpiewać będę,
Tobie jednej — hej!

Stoją trzciny, rokiciny,
Stare wierzby i kaliny,
A dziwują się grajkowi:
Czy wyśpiewa, czy wypowie,
Co nam w sercach drga?

Drzewa głosy mi podają,
Jasne wody dla mnie grają!
Bo ja jeden wyrozumiem,
Na mych skrzypkach wygrać umiem
Pieśni ziemi mej.

A jak wezmę skrzypki moje,
Jak przykręcę, a nastroję,
Na zielony pójdę łan —
Tam ja sobie król i pan!
Jak od serca zagram kwiatom
Kraśnym makom, a bławatom,
Pójdą, pójdą w tan.

Jak posłyszą żwawe zdroje,
Jak pochwycą pieśni moje,
A uderzą w gromki wtór —
Gwarnem echem huknie bór
I rozśpiewa się wokoło,
A rozgłośnie, a wesoło,
W jeden, w jeden chór.

Bo skrzypkami ja czaruję:
Kto posłyszy, już tańcuje,
A kto smutny, wesół tam,
Gdzie nadzieją sercom gram!
Moje pieśni kto posłyszy,
Dziwne głosy chwyta w ciszy;
Nie ten, nie ten sam.

W moich skrzypkach gwarzą drzewa,
Szumią bory, rzeka śpiewa,
Bujna łąka cała gra,
A wtóruje dusza ma —
I zaklina tak w piosenki
Radość, bóle, łzy i męki,
Jakie ziemia zna.

Marja Markowska.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

(6) Obraz historyczny.

Syka dogonił towarzysza, który, obojętny na muzykę, kroczył dalej w ciemność.

— Hań się weselą! A gdyby wiedzieli!... — szepnął.

— A no, prędzej czy później dowiedzą się — odparł poważnie wójt Drażenowski. — Ale dej ci Panie Boże dobrą noc, bo mnie czas już w inną stronę, — ku domowi.

Rozeszli się. A gdy odgłos ich kroków ucichł w ciemności, z za węgła domu wysunął się Jan Sladky. Stał chwilę, patrząc im w ślad i nadsłuchując, a potem skierował się zwolna ku domowi. Nie zwracał uwagi na wesołe dźwięki, co za nim biegły. Nie słyszał ich nawet. Wśliznął się niepostrzeżenie do świetlicy i znowu do snu się ułożył.

* * *

Sladkowa nieciła właśnie z rana ogień na nalepie, gdy we drzwiach — pomimo wczesnej godziny — ukazał się Jan. Pozdrowiwszy matkę, usiadł na ławie i spoglądał milcząco w zaciągnięte chmurami niebo, gdy stara spytała go, jak dzieci spały w tę burzę.

— Dobrze. A wy, matusiu, wcześnie poszliście spać?

— Wcześnie....

— Ale potem wstawaliście znowu? Widziałem światło w waszych oknach — mówił Jan, patrząc badawczo w twarz matce.

— Dy to skrony tego wiatru. Bałach się, aby nie wyrządził jakiej szkody.

Mówiła to głosem spokojnym, obojętnym.

Syn pozostał przez chwilę w izbie, oczekując zwierzeń. Ale stara nie wspomniała ani słóweczkiem o wczorajszem zajściu, mówiąc przez cały czas o rzeczach dalekich, lub powszednich.

Odszedł z uczuciem bolesnego zawodu w sercu.

— Ani rodzona matka mi nie wierzy — myślał z goryczą.

III.

Chałupa Iskry Rzehurzka stała nieco na uboczu, pod lasem. Budynek ten pamiętał nie jedno już pokolenie, wyglądał jednak wcale krzepko, a czarne jego ściany odbijały pięknie w zimie od ubielonej śniegiem strzechy, a w lecie od wesołej zieloności jesionów, ocieniających dom.

U szczytowej ściany chaty znajdował się niewielki balkonik, na którym żona Iskry, Dorla, zawieszała właśnie kraśne grona jarzębinowych jagód, aby tu przemarzły dobrze na mrozie. Młodsza o lat kilka od męża, wyglądała świeżo i ładnie, jak dziewczę na wydaniu. Za ślebodnych czasów swatało ją wielu. Ona jednak serce oddała niepodzielnie wesołemu grajkowi i nie chciała ani patrzeć na innych, bogatszych...

Nie żałowała dotąd uczynionego wyboru, wolałaby jeno, aby Iskra zmienił swój fach na inny,— taki mianowicie, który by mu pozwalał więcej w domu przesiadywać. Często też, bardzo często myślała o dziecku — nie byłoby jej tak smutno i pusto w domu, gdyby je miała.

Dziś jednak nie odczuwała samotności: Iskra był w domu.

Swiadczyły o tem wesołe dźwięki, dolatujące ze świetlicy. Nie on sam jednak grał na tę skoczną nutę, ale jego uczeń, Kuba Konopik. Iskra, jakkolwiek młody, cieszył się sławą, która wybiegała poza granice rodzinnej wioski. Ludzie, mówiąc o nim, porównywali go do Kużelki ze wsi Straży, — grajka, co nie miał równego sobie nietylko w ziemi chodzkiej, ale nawet w całym kraju pilzneńskim. Krążyły o nim dotąd opowieści najdziwniejsze, choć oddawna kryła go ziemia czarna. Opowiadano, naprzykład, że gdy będąc w Pradze za czasów wolności chodzkiej, zagrał na dworze królewskim, przy dźwiękach jego muzyki suchy kij począł tańczyć. Innym razem, mając zielone oko[1]) — bo któryż grajek nie rad zwilża gardło? — zabłąkał się kędyś w brzeżkach, między jamami i wpadł do wilczego dołu. No i siedzi se tam dobrze nie bardzo, — wtem zjawia się przed nim kosmaty gość o zębach ostrych, kłapiących. Kużelka, nie w ciemię bity, począł mu grać i tak czarował go muzyką do samego świtania — aż leśnik, zwabiony dźwiękami kobzy i przeraźliwem wyciem, nadszedł i oswobodził go z owej wilczej niewoli.

Kużelka był ojcem i mistrzem wszystkich okolicznych grajków. U niego uczył się stary Rzehurzek, ojciec Iskry, a potem mądrość swą przelał na syna, który teraz z kolei miał już kilku uczniów. Uczył na kobzie i skrzypcach, jakkolwiek sam nie znał ani jednej nuty. Co mu kto zaśpiewa, to wygra wnet na tym lub owym instrumencie. Gdy w gospodzie otoczą go wesołe tanecznice, powiewając chusteczkami, a jedna z nich zanuci srebrnym głosem śpiewonkę nową, której słów i melodji nie słyszał nikt, bo zrodziła się może wczoraj wieczór, a może dziś, w tej właśnie chwili wiosennego wzruszenia; — Iskra słucha z uśmiechem pierwszej zwrotki i nogą takt wybija, a przy drugiej już smyczek jego śpiewa to samo na strunach skrzypiec, osendziały ojciec wtóruje na kobzie, a parobczaki porywają dziewuchy i w taniec lecą.

Na walnych grajków, którzyby poradzili wygrać, co im kto zaśpiewa, kształcił Iskra także uczniów swoich.

— Uważaj, Kubo, — mówił — zanucę ci jeszcze cosi, a ty wnet mi to wygraj:

„Chopa — siupa do doliny, — Lepsze dziewczę, niż maliny.“

Lecz zaledwie Kuba zaczął, mistrz przerwał mu śpiesznie,

— Widzę hań Jana Kozinę, idącego do nas. Więc hybaj domu, a jutro przychodź o tym samym czasie.

Kuba nie dał sobie tego powtarzać i zniknął wnet za drzwiami. Jednocześnie zaszuściło coś na piecu i długowłosy starzec o zbolałych rysach twarzy, uniósł się na posłaniu. Był to ślepy ojciec grajka.

[1]) Tyle co podpity — wyrażenie ogólnie używane na Śląsku. (Przyp. tłum).

— Czy się co stało, że Kozina idzie do nas o tym czasie? — zapytał.

— Nie wiem, ojcze. Może jeno mija nas, idąc kędyś dalej.

I wesoły grajek wybiegł na spotkanie przyjaciela, zapraszając go do wnętrza domu. Nie nalegał jednak zbytecznie. Znał Jana i domyślił się wnet, że nie przychodzi po próżnicy, lecz chce mu coś w cztery oczy powiedzieć.

— Jeżeli do lasu idziesz, odprowadzę cię kęs drogi.

— A no, idę pojźreć, kielo drzew wykrocił wiater wczorajszy.

Iskra wpadł do izby po czapkę i wnet odszedł z Janem ku wielkiemu zmartwieniu Dorli i ślepego ojca. Stary radował się wszelakim odwiedzinom, co przerywały mu tęsknicę wiecznej nocy, ale Jana witał z uczuciem szczególniejszem, jako swego dobroczyńcę i obrońcę, który mu życie uratował przed dziesięciu laty.

Szedł wtedy do Terhanowa, gdzie miał grać w zastępstwie chorego kobziarza i w lesie spotkał dwóch myśliwych, pijanych, Niemców z terhanowskiego zamku, którzy mu kazali grać, wymyślając od chamów i psów.

Burzliwa krew chodzka zakipiała w żyłach grajka, — odciął się im ostro i nie ustąpił nawet wówczas, gdy rzucili się na niego z głuchym pomrukiem wściekłości. Bronił się, odbijał ich razy gołemi pięściami, byłby jednak zginął niechybnie, gdyby w najgorszej chwili olbrzymi pies Kozinów, Wilk, nie był rzucił się na jednego z napastników, a drugiego sam Kozina nie poczęstował silnem uderzeniem ciupagi. Odegnawszy zbójów, Jan odniósł do domu broczącego krwią, nieprzytomnego grajka. W nierównej walce z dwoma uzbrojonymi wrogami kobziarz utracił jedno oko, a drugie zaogniło mu się i zgasło na wieki, gdy leżał w gorączce od ran otrzymanych.

Od tego czasu Iskra gorętszą jeszcze powziął przyjaźń dla Jana, który mu odpłacał również szczerą życzliwością i zaufaniem.

Teraz szli razem w stronę lasu.

Po nocy burzliwej zajaśniał dzień piękny, pogodny. Chmury o brzasku jeszcze, po krótkiej gonitwie, zsunęły się z nieba. Słonko strzeliło pękiem promieni, a w przejrzystem powietrzu rysowały się wyraźnie szczyty Szumawy i Czeskiego lasu.

Obaj młodzi Chodowie jednak, pogrążeni we własne myśli, nie dostrzegali piękności listopadowego krajobrazu. Nagle Iskra położył rękę na ramieniu przyjaciela i patrząc mu w oczy szczerem ciepłem spojrzeniem, zagadnął:

— Co ci jest, Jaśku? Wyglądasz, jakby kto urok na ciebie rzucił? Co się stało?...

— Iskro, powiedz mi prawdę, świętą prawdę. Co ludzie o mnie mówią? Że nie wart jestem zaufania, — czy tak?

— Szaleńcze, skąd ci takie myśli przychodzą do głowy?

— Skąd? — E dyć — rodzona matka mi już nie wierzy! — zawołał z goryczą i jął opowiadać wypadki poprzedniego wieczora. Mówił żywo, unosząc się stopniowo coraz bardziej.

— Stara kobieta ma u nich większą wiarę, niż ja — skarżył się w końcu. — Zapewne, i po mojej stronie dużo winy, ale przecież nie godziło się tak ze mną postąpić. Prawda, Iskro, żem się zmienił, żem czynił inaczej, niż dawniej. Dawniej wszystko mi było jedno, niczegom nie żałował, o nic się nie bał. Stawiałech się panom, gdziem jeno mógł. Ale potem ustępowałem im z drogi. Myśl o żonie, o dzieciach... O bo ty nie wiesz, Iskro, co znaczy miłować dzieci swoje!..

— Ale wszystka krew burzyła się we mnie, kiedym patrzał na to, co robią panowie, widział, jako depcą nas i nasze prawa.

Wahałem się, niepewny, co mam począć. Nieraz wspomnienie ojca popychało mię do czynu, do stanowczego kroku. Pomnisz, gdy przyszedł, ów nakaz z Wiednia... Małym chłopcem byłech wtedy, ale ociec wziął mię ze sobą do Domażlic, na nasz zamek, gdzie odczytano straszne owo pisanie, że Chodom nakłada się *perpetuum silentium*, jak mówiono po łacinie. Hej, dobrze zapamiętałech te słowa! Byli hań zgromadzeni wszyscy nasi wójcia, wszyscy starsi. Pomnę, dobrze pomnę, jak krzyczeli, kie im czytano owo pisanie i jaki lament się zerwał, kie starosta jął im tłumaczyć, że teraz muszą zamilknąć na wieki, bo tak im kazują te dwa łacińskie słowa...

Nie wierzyli... Ociec też wierzyć nie chcieli. Chycili mię za rękę, mówiąc: „Pójdź wartko, synku!“ Bieglichmy do dziekana, aby zapytać, co znaczą łacińskie słowa. A kie i on rzekł to samo, ociec chycili się za siwą głowę, a śluzy im leciały z oczu, jęki rwały się z piersi... Przez caluteńką drogę z powrotem do domu słychać było ino płacz i narzekanie. Starzy prawili, że owo *perpetuum* to krzywda największa, bo nawet bronić się nie będzie im wolno. Kieloż to dni ociec chodzili, jako umarci, bez słowa, bez skargi. Aże pewnego razu, wróciwszy, z lasa, prasnęli ciupagę na stół, wołajęcy:

— Nie będzie to tak do końca świata! Ktosi ozpocznie, podniesie głos i zaś krew sie poleje!

Jan przerwał opowiadanie. Pierś jego podnosiła się przyśpieszonym oddechem, oczy gorzały, twarz okryła się ciemnym rumieńcem.

— Tych słów, bracie miły, nie mogłech nigdy zabaczyć. „Ktosi ozpocząć musi!“ szumiało mi wciąż w głowie. Potem zbaczyłech se, jako ociec mówili, że krew się poleje i nie żal mi było siebie. Niech zginę — myślałech — byle innym, wszystkim, było lepiej! — „Poczkaj, aże gazdą ostaniesz“ — uspokajałem się sam. Ale potem... sam wiesz dobrze — dla Hanki zabaczyłech o całym świecie. Potem dzieci... Ale dawne myśli jęły zaś się ozywać. Huczały w głowie od świtania do nocy. Myślałech o dobrych, o wielkich rzeczach, a doczekałech się, że rodzona matka przestała mi wierzyć, jak gdyby w żyłach moich nie płynęła chodzka krew!...

— Uspokój się Janie, kie wybije godzina...

— A kie ona wybije? Kie wszystko już prześpimy?

— Nie chcę nic przespać, ale i to wiem, że kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

— Tak, ale bez miecza, bez wojny, staniemy się niewolnikami. Ho, niedoczekanie ich! — dodał porywczo.

— Sądzisz więc, że teraz byłby czas...

— Jeśli panowie poszukują naszych papierów, toć każdy wyrozumie, że nie straciły one dosiela wartości. Teraz czas. Jeżeli nie zaczną wójcia, a panowie poszukiwań nie zaprzestaną, ozwę się ja. I niech mię wielgi Bóg sądzi. Takem to sobie tej nocy pedział.

Wtem ktoś zawołał na nich potężnym głosem. Obejrzeli się i zobaczyli niżej, na ścieżce, górala olbrzymiego wzrostu, który teraz dawał im znaki ciupagą, tak suto nabijaną, że błyskała w słońcu jako nagi miecz. Po głosie i wyniosłej postawie poznali go wnet.

Był to Maciej Przybek. D. c. n.

ZE WSPOMNIEŃ DEMOKRATY.

(4)

Akt założenia Towarzystwa czyli pierwszy jego manifest był dziełem pięciu wspomnianych założycieli, którzy po kolei losem wyznaczonej, podpisywali wszystkie odezwy i akty publiczne.

Pierwszy z nich, Adam Gurowski, brał czynny udział w pracach Towarzystw, zaciągnął się potem do strzelców pieszych, gdzie otrzymał stopień oficerski i krzyż „virtuti militari“. Wysłany w myśli dyplomatycznej przez zastępcę ministra spraw zagranicznych G. Małachowskiego do Paryża pozostał tu aż do przybycia emigracji.

Jako jeden z założycieli Towarzystwa wydawał czasopismo „Przyszłość“, którego jeden tylko zeszyt wyszedł. Śmierć żony i los córek, przez nią osieroconych, skłonił go do powrotu do kraju po napisaniu wstrętnej broszury w języku francuskim, w której nazwał naród polski trupem, gdy wprzódy tak nazywał tylko stan szlachecki, nie mogący niepodległości kraju ani utrzymać, ani utraconej odzyskać. Został potem gubernatorem cywilnym w Rydze, wreszcie przesiedliwszy się do Ameryki, dostał miejsce w biurze pomiarów brzegów morskich i umarł tu w takiem ubóstwie, że nie miał kilku centymów na opłacenie listu. Kiedy mu Janowski przysłał broszurę swoją „O początku demokracji polskiej“, w któ-

rej nazwał go odstępcą — odpisał mu z podziękowaniem za książkę, mówiąc wyraźnie, że dobrze zrobił, nazywając go zdrajcą.

Drugi z kolei członek założyciel Towarzystwa demokratycznego, Szymon Krępowiecki, który „nazwał się Tadeuszem dlatego, że się Kościuszko tak nazywał“, był w kraju guwernerem dzieci po sławnej pamięci generale Dąbrowskim, potem porucznikiem artyleryi i adjutantem Krukowieckiego, na emigracji znany był ze swej mowy, w której porównywał szlachtę polską do plantatorów trzciny cukrowej w Ameryce, a lud wiejski przez nią ciemiężony do murzynów.

W ogóle szerzył on najskrajniejsze teorje społeczne (Babeufa, Cabeta i Owena). On to skłonił sekcję, znaną pod imieniem Grudziądz i Humań, do oderwania się od Towarzystwa demokratycznego i założenia nowego pod nazwą „Ludu“. W końcu wytrzeźwiwszy się z bałamutnej doktryny komunistycznej, przyjęty został napowrót do Towarzystwa.

Trzeci założyciel Towarzystwa, ks. Kazimierz Aleksander Pułaski, głośny kaznodzieja i profesor języka polskiego, człowiek ambitny i potrosze intrygujący, został wraz z Ordyńcem, redaktorem Dziennika warszawskiego, pomagającym mu w tem koteryjnem postępowaniu, z Towarzystwa wykreślony.

Sekretarzem Towarzystwa i jego duszą był Płużański.

Z działaczy wojskowych najniekorzystniej przedstawia się w pamiętnikach postać generała Bema. Janowski wykazuje, że Bem nie działał bezinteresownie, gdy ze sprowadzonych do Francji podoficerów i żołnierzy utworzyć chciał zastęp zbrojny, na co otrzymał od komitetu dam w Dreźnie 40.000 złp., a pewną sumę od komitetu francuskiego w Paryżu pod przewodnictwem Lafayetta. W tych samych — osobistych widokach traktował przyszły ajent ks. Czartoryskiego o dostawienie Don Pedrowi 3.200 żołnierzy polskich do Portugalji. Okazywał on wzgardę komitetowi narodowemu, na czele którego stał J. Lelewel, a z Drezna napisał list do generała Lafayetta, w którym nazwał wszystkich Polaków, przebywających w Paryżu, szlifobrukami warszawskimi (batteurs de pavé de Varsovie) lub zbiegami z wojska. Nazwał ich zaś dlatego, że nie okazywali ochoty do udawania się na stały pobyt do ówczesnych wielkich zakładów (depôts), gdzie rząd poddawał wszystkich pod rygor wojskowy.

To oburzyło do tego stopnia kilku członków Towarzystwa demokratycznego, że postanowili upomnieć się u niego o taką zniewagę ogółu spółrodaków. W pierwszych dniach kwietnia 1832 r. przybyli doń pułkownik Zalewski, major Drewnicki i inni wojskowi, którym służący oznajmił, że generała niema. Nie zważając na to wchodzą oni do mieszkania Bema. Ten widocznie rozespany i tylko w letnim szlafroku, gdy zobaczył kilku emigrantów, chciał drzwi za sobą zatrzasnąć, ale nie mógł, bo mu je Drewnicki obiema rękami otwarte przytrzymał. Zwrócił się więc nagle i zawoławszy: „To napaść!“ porwał za dwie krucice, leżące nad kominkiem, wymierzył je ku przybyszom i rzekł: „Kto się będzie chciał zbliżyć do mnie, temu w łeb wypalę“.

Na to rzekł Zalewski: „Co to za napaść, generale, patrz pan, że my broni nie mamy...“ Niecierpliwy Drewnicki przerywając mu wtrącił: „Ja się armat pod Wawrem nie bałem, a ja miałbym się krócic bać?“. Bem się zreflektował i opuścił ręce. Usiadł na krześle przy stole, na którym były przybory do pisania i rzekł spokojniejszym, ale drwiącym jeszcze głosem; „Kto ma do mnie pretensję, niech się tu podpisze“. Na to rzekł Janowski: „W liście do gen. Lafayetta, ogłoszonym w dziennikach, nazwałeś generał szlifobrukami warszawskimi lub zbiegami z wojska wszystkich rodaków, w Paryżu przebywających. Owóż przychodzimy z żądaniem, abyś się generał wytłómaczył z wyrządzonej nam i tylu innym rodakom zniewagi i w szczególności każdemu z nas powiedział, czy go ma za szlifobruka, czy za zbiega i dlaczego“. W podobnym tonie przemawiali i inni, zbliżając się kolejno do generała, siedzącego nieruchomie na krześle z założonemi na piersiach rękami. W końcu, gdy zaczął mówić Winnicki, Bem mu przerwał, robiąc mu zarzut, jakoby samowolnie swój posterunek opuścił. Wywiązał się z tego pojedynek, który Lafayette zażegnał.

W miesiąc niespełna od założenia Towarzystwa demokratycznego, kiedy wielu członków miało opuszczać Paryż, a była obawa, że się na prowincji powiększy żywiołami niezupełnie zgodnymi z zasadami, wyrażonemi w akcie założenia, i że tym sposobem spaczy się charakter demokratyczny Towarzystwa, powzięto dnia 15. kwietnia 1832 uchwałę, wedle której kierownictwo Towarzystwa spoczywać ma i nadal przy tych, którzy przebywać będą w Paryżu, choćby ich było tylko pięciu. Uchwała ta nie podobała się przyjmowanym na prowincji członkom, nazywano ją nie bez słuszności dyktatorską, a nawet antydemokratyczną. Kierownictwo jednak utrzymało się przy członkach w Paryżu, dopóki tam był sekretarzem J. R. Płużański, około którego wszystko się obracało. Ale kiedy i jego pod koniec 1833 wydalono z Paryża na prowincję, a Adam Gurowski usunął się z Towarzystwa, zacząwszy wydawać pismo: „Przyszłość“ — której wyszedł tylko jeden zeszyt — nowi zaś członkowie wzięli górę, usiłując sprowadzić Towarzystwo na bezdroża, postanowiono znieść uchwałę z 15. kwietnia i odebrać Paryżanom centralną władzę.

Staraniem Janowskiego i Cyprysińskiego udało się przenieść władzę centralną do Poitiers. Powołano też do napisania projektu nowej ustawy Tomasza Malinowskiego, którą po dwukrotnem wotowaniu zamieniono 1835 w ustawę obowiązującą. Podług niej miano co rok wybierać dzie-

więciu członków do sprawowania władzy centralnej pod nazwą Centralizacja. Wyrazu tego, potrzebującego dopełnienia (mówi się Centralizacja czynów n. p. władz, interesów i t. p.) użyto w celu wpojenia w umysły ducha sforności, której w dawnej Polsce nie było z powodu nazbyt wybujałego indywidualizmu w panującym stanie szlacheckim.

Powołany do t. zw. wydziału wykonawczego Towarzystwa, zetknął się Janowski bliżej z wybitniejszemi na emigracji osobami, między innemi z Bohdanem Zaleskim, który właśnie w owym czasie uwięziony został w St. Pelagie (dawnym klasztorze, przeznaczonym na więzienie za przestępstwa polityczne). Znał go Janowski jeszcze w Warszawie przed 1831, kiedy to przez kilku szlachty z powiatu taraszczańskiego (w Kijowskiem) wybrany został posłem na sejm. Zaraz z początku emigracji należał do owego kółka pobożnisiów, z których potem powstał zakon Zmartwychwstańców, a równocześnie zapisał się do Towarzystwa demokratycznego, z czego wnosi Janowski, że „nasz bogobojny poeta siedział niejaki czas na dwóch stołkach“. Dopiero w roku 1836 pod pozorem przeciążającej go pracy literackiej, jakoby nie mogąc nadal pełnić obowiązków członków Towarzystwa, podał się do wykreślenia.

Najważniejszym wypadkiem w dziejach Towarzystwa demokratycznego było instalowanie się centralizaacji w Poitiers, dnia 30. stycznia 1836 r. Pierwszym i najdonioślejszym aktem to manifest Towarzystwa z dnia 4. grudnia 1836 r. Projekt tego aktu ułożył Wiktor Heltman, naradziwszy się wprzód z Janowskim, T. Malinowskim, R. Chmielińskim i H. Jakubowskim, jakie mają być główne jego podstawy. W napisanym tak projekcie uznali oni potrzebę zaprowadzenia pewnych zmian i poprawek, dopiero po ich dokonaniu podał go Heltman w okólniku do ksiąg Towarzystwa. Wiele sekcyj i poszczególnych członków poczyniło nad nim swoje uwagi. Te zaś roztrząsali członkowie centralizacji na kilku posiedzeniach, zastanawiając się nad każdem zdaniem, nad każdym niemal wyrazem. Poczem zredagował znów Heltman drugi projekt i ten z motywami centralizacji podano do zawotowania Towarzystwa, które go też przyjęło i okryło 1,130 podpisami. W dyskusyi nad manifestem — jak i w innych pracach pierwszej centralizacji — rej wodzili: Heltman, Janowski i Malinowski. Mniej znaczny udział brali Chmielewski i Jakubowski, a Zaczyński, Chryslowski i Molsdorf bardzo mały.

Manifest Towarzystwa ogłoszony został najpierw po angielsku w Londynie, gdzie go sympatycznie przyjęły towarzystwa robotnicze i ich pisma, potem wyszedł po niemiecku i włosku. Z powodu zakazu ministra spraw wewnętrznych, nie mógł być w języku francuskim ogłoszony, umieścił go F. I. Raspail w dziełku: „De la Pologne sur les bords de la Vistule“, które niebawem Janowski na język polski przetłómaczył.

Właśnie podówczas przybyła do Poitiers gromadka emigrantów z Hiszpanji w liczbie mniej więcej 300. Przechodzili oni dziwne koleje i po wypuszczeniu z niewoli pruskiej pod koniec 1833 r. wysłano ich do Ameryki, lecz oni zawinąwszy do portu angielskiego Portsmouth, skłonieni tam zostali przez dwóch rodaków Banzemera i Falkenhagena, agentów księcia A. J. Czartoryskiego, do zaciągnięcia się do legji cudzoziemskiej w wojsku francuskiem, będącej w Algierji, i tam ich też wyprawiono. Legja ta wkrótce odstąpioną została przez króla Ludwika Filipa na pomoc królowej hiszpańskiej Krystynie. Po trzech latach służby wydalono ich z Hiszpanji. Rząd francuski nie chciał ich przyjąć, dozwalając im tylko przez swój kraj wolnego przejścia. W przejeździe przez Poitiers zatrzymali się tu dłużej, zajęła się bowiem ich losem Centralizacja. Wydała stosowną odezwę do rzędu francuskiego o przyjęcie ich, a pisma francuskie poparły tę odezwę. Wkrótce też wielu z tych nieszczęśliwców, z głodu i chłodu przynędzniałych, znalazło tu umieszczenie lub jaki taki zarobek. Urywam opowiadanie Janowskiego o smutnych kolejach życia naszej emigracji, aby zatrzymać się na chwilę na osobistościach, głośnych w dziejach naszej literatury.



Z pism i książek.

Fr. Rawita-Gawroński. Studja i Szkice historyczne. Serja II. Towarzystwo wydawnicze. Lwów 1900.

W serji wydawnictw, poświęconych „*almae matri jagellonicae*“ wydała ruchliwa firma wydawnicza lwowska „Studja i szkice“ znanego badacza naszej przeszłości p. Fr. Rawity-Gawrońskiego.

Treść książki stanowią następujące rzeczy: Losy wielkiej fortuny na kresach ukrainnych. — Filip Orlik, nieuznany hetman kozacki. — Kartka z życia społeczeństwa kresowego. — Prawo bartne XVI w. — Pogląd na historję rolnictwa w Polsce. — Siabrostwo jako forma władania ziemią. — Ludowe sądy kupne czyli kopne na Polesiu. — Przygoda Imć pana Józefa Sieńkiewicza, namiestnika chorągwi tatarskiej. — Kilka słów o rodzinie i miejscu rodzinnem Tarasa Szewczenki. — Ludwika Śniadecka.

Wobec rozmaitości kwestji, stanowiących przedmiot badania poszczególnych szkiców, trudno jednakową skalą krytyczną mierzyć całość. Są tam rzeczy, które się czyta lekko, jakby jaką „opowieść z lat dawnych“, a które pomimo swej prawie powieściowej formy noszą cechę ścisłości historycznej. Takiemi są np. pierwsze trzy szkice: „Losy wielkiej fortuny“, „Filip Orlik“

„Karta z życia społeczeństwa kresowego“, a dalej „Przygoda Imć pana Józefa Sieńkiewicza“.

Zdawać by się mogło, że niektóre z powyżej wymienionych szkiców ze względu na nader skromny zakres treści i niewielkie znaczenie faktów, stanowiących przedmiot badania, pozbawione są wszelkiego znaczenia dla historji; znaczenie to jednak potrosze zyskują dzięki umiejętnemu ugrupowaniu szczegółów i dzięki szerszemu tłu historycznemu, na którem są oparte. Prawda, że niewiele nas mogą obchodzić intrygi jakiegoś Wasyla Kobyzewicza w celu zagarnięcia fortuny Mitrowiczów, bo fakt, czy intrygi jego były uwieńczone powodzeniem, czy nie, — absolutnie nie miał żadnego znaczenia dla historji i na bieg wypadków nie wpływał; ten sam fakt jednak nabiera w oczach naszych zupełnie innego znaczenia, o ile autor, — jak to widzimy właśnie w danym przypadku — powiązał go z szeregiem innych, rzucających światło na stosunki współczesne i przez poddanie ogólniejszego tła historycznego z monografji jednostki zrobił monografję całego otoczenia tej jednostki i warunków, wśród których cała warstwa społeczna w danej epoce się rozwija.

Do zupełnie innego rodzaju należą studja historyczno-ekonomiczne, jak „Prawo bartne“, „Pogląd na historję rolnictwa“ i „Siabrostwo“. Są to prace, któreby można nazwać przygotowawczemi do ekonomicznej historji Polski, a jako takie, mają bezwarunkowo wartość zwłaszcza wobec niewielkiej liczby prac, źródłowo traktujących rozwój ekonomiczny Polski.

To też bez względu na polemiczną swą stronę, jako okolicznościowego referatu krytycznego, „Pogląd na historję rolnictwa w Polsce“ jest jednym z najcenniejszych szkiców w „Studjach“, którego zaletą jest dążenie do ujęcia w jeden całokształt rozmaitych uwag, fragmentarycznie rozproszonych o historji rolnictwa w Polsce: jest to jakby szkielet poważnego dzieła, ujmującego całość przedmiotu w jeden system, choć nie wyczerpujący żadnego punktu zupełnie. — Ma się prawdziwy żal do autora po przeczytaniu tego szkicu, że, rozporządzając takim zasobem wiadomości z danego zakresu, nie dał nam rzeczy skończonej, samodzielnie stojącej na podstawach badań, — a natomiast luźnie powiązał swe poszukiwania z referatem o dziele innego pióra.

Pozostałe dwa szkice „O Ludw. Śniadeckiej“ i „O rodzinie Tar. Szewczenki“ należą do rzędu monografji historyczno-literackich.

R.

„*Słowo*“ warszawskie porusza w jednym z ostatnich numerów sprawę odnowienia pomnika Syrokomli. „Lirnik wioskowy“, co śpiewał ból i krzywdę chłopską, co łkał nieraz pieśnią na taki ton, „jak pod rózgą jęczał chłop“ — zasłużył na wdzięczność ogółu, którego był sumieniem. Wszystkie więc głosy, mające, na celu przypomnienie obowiązku, o którym zapominać nie należałoby nigdy, zasługują na uwzględnienie najszersze — przytaczamy więc i wzmiankowaną korespondencję, jakkolwiek pobieżnie tylko dotyka ona przedmiotu.

„I Syrokomla — nie dość zapewne dziś miłowany i ceniony, poeta serca — nie rychło snadź doczeka się godnego swym zasługom śpiewaczym pomnika — na mogile... Tymczasem dziwy się dzieją z nagrobkowymi znakami pomięci Ludwika Kondratowicza na tej nasze Rosie cudnej — od daty jego zgonu (1862 r.): wpierw oto krzyż staje prosty, drewniany, wyniosły, na tej górce literackiej (nieprzymierzając, jak u tego „Lirnika wioskowego“ — w zaciszu...), potem płyta kamienna, bardzo skromna (wykuta, zdaje się, przez Sobolewskiego), z pamiętnym napisem: „Skonał, grając na lirze“, a oparta o usypisko grobowe, obsadzone rozchodnikiem. To pamiątka rodzinna. Gdy zarośla się zagęściły, a pomnik, odwrócony tyłem do drożyny, biegnącej tedy pod górę, jakoś się zaniedbywał, zacny fabrykant kamieniarski miejsce to uporządkował, kamień odświeżył i odwrócił w kierunku właściwym dla oczu przechodniów. Potem coraz więcej zaczął się wyozdabniać pomniczyna... w wieńce (z napisami, jak np. „Lirnikowi litewskiemu od Warszawian“, „Najukochańszemu lirnikowi“ i t. d.), ostatnimi były: jeden z licznych, położonych, w r. z. w Zaduszki na grobach znakomitszych zasług naszych na cmentarzu Rosa i Bernardyńskim, oraz specjalny, ludowy (piękny, z żywego kwiecia). I ptaszę jakieś szare (widzieliśmy, — na wiosnę r. z. to było) pamiętało instynktownie o piewcu bratnim, uścielając, pomiędzy metalowymi liśmi wianka a zielenią świeżą rozchodnika, gniazdko, aby i potomstwo pierzaste chwałę poety sławiło po świecie drobnem gardziołkiem swem, co piersi starczy... Ale sam kamień ubogi znów czas nadniszczył. A ogół wciąż narzekał, że Syrokomla nie ma trwalszego i okazałego pomnika nawet na cmentarzu, a najgodniejsi z tego ogółu (filistrzy!) wciąż nową tamę kładli sprawie; i składki nie płyną dotąd raźno („Biesiada Literacka“ głównie przyjmuje). Był projekt, żeby i rodzina w części do wzniesienia wspaniałego nagrobka materjalnie się przyczyniła. Czas biegł... Inne powstały projekty. Owoż obecnie syn poety, p. Władysław Kondratowicz, wznosi nagrobki małe, granitowe matce swojej ś. p. Paulinie z Mitraszewskich i ciotce (siostrze poety) ś. p. Rojeckiej, a zarazem (nim ogół, za kilka lat może, cobądź wznieść co umyśli...) oporządził już i grób ojca.

Niestety jednak, nagrobek znakomitego lirnika w obecnej przeróbce wygląda niezbyt estetycznie. Płyta stara, odnowiona, w nowem obramowaniu z kamieni ocementowanych, a nieestetycznie ułożonych, stanowczo źle wygląda, i należałoby przerobić całość. Mamy więc nadzieję, że ofiarność nasza zdobędzie się na kilkadziesiąt rubli, które wystarczą chyba dla bardziej estetycznego odnowienia pomnika Syrokomli.

Algirdas.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.